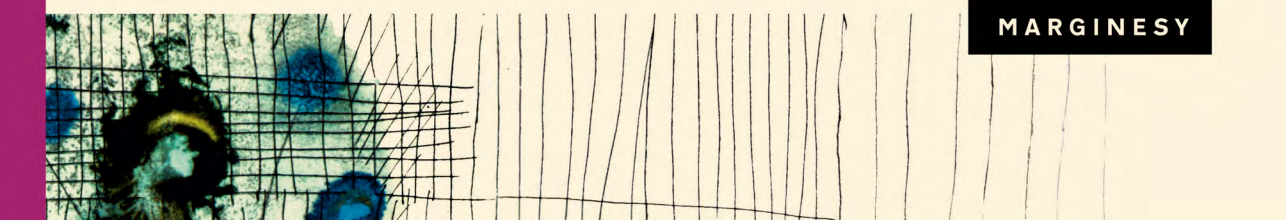


**AGATA
NAPIORSKA
SZCZĘŚLIWE
PRZYPADKI**

**JÓZEF A
WILKONIA**



MARGINESY

Mojej mamie, Agata Napiórska

AGATA
NAPIÓRSKA
SZCZĘŚLIWE
PRZYPADKI
JÓZEFA
WILKONIA

Copyright © by Agata Napiórska

Copyright © by Józef Wilkoń

Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2018

MARGINESY



Sto godzin w trzydzieści razy

Józefa Wilkononia odwiedziłam trzydzieści dwa razy. Spotykaliśmy się w piątki lub poniedziałki w samo południe. Do Zalesia Dolnego jechałam najpierw metrem, potem autobusem podmiejskim, a na końcu mniej więcej kilometr szłam pieszo. Furtka i drzwi wejściowe zawsze były otwarte, a mistrz już czekał na mnie w kuchni. Bywało, że trafiałam w sam środek towarzyskiej posiadówki: kilka osób, śledzie, wódeczka, bawarka, potem zupa i drugie danie. Goście, czując się jak u siebie w domu, zajmowali się sobą i często włączali do rozmowy.

Pewnego razu latem spotkałam go w ogrodzie, gdzie nadzorował pakowanie swoich wielkich zwierząt do ciężarówki, a raz, jesienią, zastałam go w pracowni na górze — kończył właśnie ilustracje do książki o Wieliczce. Kilkakrotnie siedzieliśmy i rozmawialiśmy przy jego zawalonym rysunkami i farbami biurku, czasem spacerowaliśmy po ogrodzie, oglądając drzewa i kwiaty, lub siedzieliśmy na białych plastikowych krzesłach przed letnią pracownią, grzejąc się w słońcu. Jedliśmy obiady przyrządzane przez panią Halinkę, piliśmy kawę (rozpuszczalną z mlekiem i cukrem lub espresso), na koniec pan Józef mówił czasami: „Dobrze, że przyjechałaś autobusem, to możemy strzelić po jednym”. Z barku wyciągał wielkie krośnieńskie kielichy i nalewał nam wina, ręka nigdy mu przy tym nie zadrżała. Parę razy załapałam się na transport do Warszawy z kierowcą,

Stefanem — odwoził mistrza do banku w Piasecznie, do dentysty lub na spotkanie w restauracji. Na takie okazje Józef Wilkoń wkłada elegancki płaszcz, rybacką czapkę zamienia na czarny kapelusz, zabiera drewnianą łaskę zakończoną srebrną rączką. Chodzi szybko jak na swój wiek, mówi głośno, a podekscytowany nawet krzyczy. A ekscytuje się często: a to dobrą zupą albo ogniem w kominku, a to tym, że mu wyszła jakaś rzeźba, albo anegdota z czasów studenckich. Kiedy młodsza od niego o parę lat pani Halinka narzeka, że starość nie radość, każe jej natychmiast przestać i podniesionym głosem powtarza, że inni mają gorzej i nie będzie tego słuchał. Potrafi też siarczyście zakląć. Energią mógłby obdzielić kilka osób. Czuje się potrzebny i lubi pomagać. Jego telefon nie przestaje dzwonić. Chociaż lubi też w ciszy i spokoju „dojrzewać” do południa. Jest ode mnie ponad pięćdziesiąt lat starszy, ale bywało, że po paru godzinach rozmowy to ja byłam bardziej zmęczona niż on.

Pierwszy raz przyjechałam do Zalesia zimą 2015 roku, by przeprowadzić z Józefem Wilkoniem rozmowę do książki *Jak oni pracują*. Te kilka godzin to było za mało, chciałam wrócić do tej kuchni i do tego ogrodu, chciałam posłuchać dalszych opowieści mistrza, którego ilustracje uwielbiałam od dziecka. Podobno tak czują się wszyscy, którzy go odwiedzają. Kiedy wtedy zamknęłam za sobą furtkę, wiedziałam, że jeszcze tu wrócę. To nie był przypadek: ponad rok po pierwszym spotkaniu zadzwoniłam do agentki Józefa Wilkonia, Blanki Wyszynskiej, z pytaniem, czy artysta będzie zainteresowany wywiadem książkowym. Dowiedziałam się, że było już parę takich propozycji, ale ponieważ on dobrze wspomina naszą rozmowę, miałam pojechać do Zalesia i mu to osobiście zaproponować. Tak też zrobiłam.

Zgodził się. Ustaliliśmy, że książka będzie opowieścią o jego codziennym życiu, nie tylko o twórczości. Zaproponowałam jej publikację Wydawnictwu Marginesy, ponieważ podoba mi się sposób, w jaki wydaje ono tego typu książki: dużo w nich ilustracji i zdjęć, a w przypadku Wilkonia te stanowią osobną, równoległą opowieść.

Nagrałam prawie sto godzin rozmów. Nie spieszyliśmy się. Często z historii z czasów studenckich zbaczałyśmy na tematy bieżące. Mistrz robił dygresje, jedno wspomnienie otwierało drzwi kolejnym i jeszcze następnym. I choć zaplanowałam, że będziemy rozmawiać na przykład o Paryżu, to poruszaliśmy tematy dotyczące... Ameryki. Rozmawialiśmy o dzieciństwie, a wychodziła opowieść o jedzeniu, i tak dalej. We wzruszających momentach mówił nieco ciszej i wolniej. Kiedy coś go poruszyło, podnosił głos i przyspieszał tempo.



Na poszczególne rozdziały składa się więc wiele posklejanych rozmów. Pan Józef zaproponował, żeby gdzieś na początku dać jego autoportret. Szukaliśmy go dość długo, oglądając obrazy olejne z młodości i bardziej współczesne akwarelki. Na koniec przypomniał sobie, że ma „trzaśnięty na szybko flamastrem” rok temu autoportret. Znajduje się na stronie czwartej.

•

Ta książka nie jest biografią, na takie pewnie przyjdzie jeszcze czas. To zapis długich rozmów z wielkim artystą, ale przede wszystkim z człowiekiem, który skromnie twierdzi, że jego życiem rządzi przypadek, i umie z tego życia czerpać garściami.

×





Szczęśliwe przypadki Józefa Wilkonია

Niektórzy ludzie wykluczają przypadek i uważają, że organizują sobie życie według własnego planu, że nic nie może się zdarzyć przypadkowo, bo według nich przypadkowo oznacza byle jak. Planowanie życia tak, jakby się zakładało plantację, jest nie dla mnie. Nigdy mi nie wychodziło. Piekielnie istotne, odwracające historie zdarzenia przytrafiały mi się zawsze zwyczajnym przypadkiem. I według mnie to jest w porządku i trzyma się kupy. Kiedy patrzę na świat, na wszechświat, widzę, że cały jest wypadkową rzeczy i sumą przypadków.

•

Opowiem o przypadku w malarstwie, w pracy, ale przypadek w moim życiu osobistym miał również istotne znaczenie. Matka mówiła, że jestem w czepku urodzony. I rzeczywiście tak było, są na to dowody: moje przypadki były szczęśliwe.

Sięgam pamięcią do młodości i widzę, że było ich niemało.

×

”





Punkt dwunasta

Zalesie Dolne, połowa ulicy Kopernika. Białe murowane ogrodzenie z drewnianymi łącznikami i furtką, którą łatwo otworzyć, ale niełatwo zamknąć. Dom stoi za drzewami, niewidoczny z drogi. Prowadzi do niego leśna dróżka obrosnięta mchem i paprociami. Z prawej strony posesji strzeże odlany z aluminium dzik. Za nim, w głębi, przy szopie, widać dostojnego mamuta. Trzeba podejść bliżej, by stanąć twarzą w twarz z lwem będącym w trakcie rekonstrukcji grzywy i nosorożcem, któremu brakuje oka. Pod dachem wyleguje się siedem dębowych hipopotamów, z których trzy lada dzień pojadą do Tarnowa. Trzeba uważać, aby tuż za zakrętem, na ścieżce prowadzącej do letniej pracowni rzeźbiarskiej, nie nadepnąć na ośmiornicę, która kiedyś była zwykłym pieńkiem. Nad wejściem do pracowni wisi blaszany nietoperz. Ze schodów prowadzących do niej wyraźnie widać drewniany dom. Ten, który był tu jako pierwszy, a potem systematycznie się rozrastał, zyskując nowe pomieszczenia, okna, amfilady, wąskie labirynty schodów. Od pierwszych jego dni przyjmuje wielu gości. Jego sercem jest kuchnia. Mała, przejściowa, jak prawie każde pomieszczenie tutaj. Po lewej stronie od wejścia w ścianę wbudowany jest kominek, który ogrzewa pomieszczenie w zimne dni, po prawej stoi porządny drewniany stół, kilka wygodnych krzeseł i barokowy rzeźbiony, przykryty czerwonym kocem fotel mistrza, jako jedyny skierowany

przodem do okien. Stąd ma widok zarówno na przychodzących gości, jak i całe pomieszczenie. Na stole bałagan — sterty papierów, dokumentów, rachunków, teczek, pojemniki z ołówkami, długopisami i flamastrami towarzyszą małej maszynie do robienia espresso, białemu czajnikowi elektrycznemu, porcelanowej cukiernicy i talerzowi niedojedzonych kanapek z białym serem i czosnkiem, a także z powidłami. W wysokim wazonie zawsze są świeże kwiaty: mieczyki, gerbery, róże albo goździki.

— Dzień dobry, panie Józefie. — Wchodzę do domu, pukając w nieodkryte drzwi.

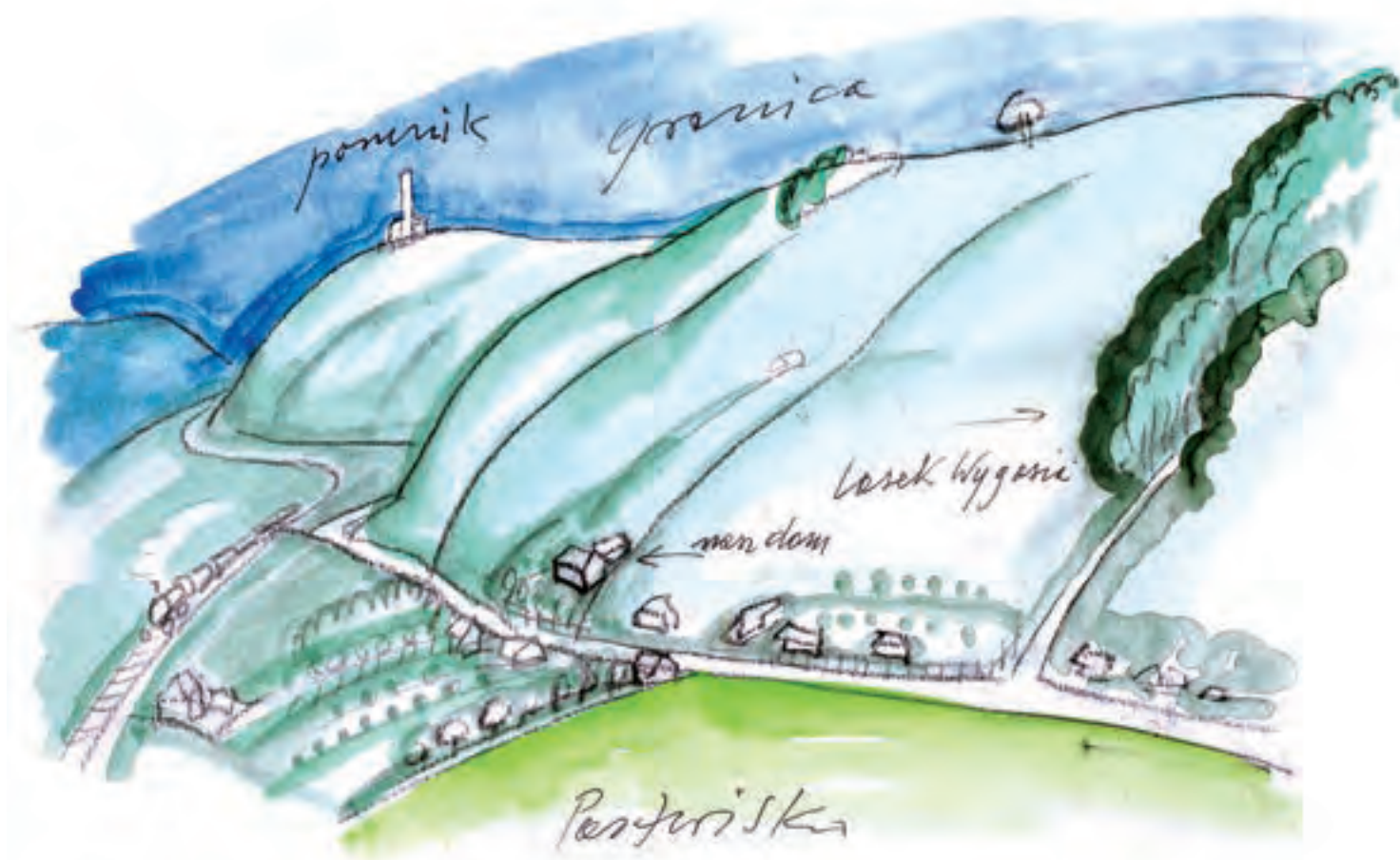
— Cześć, cześć! Zjedz kanapki i powiedz, co chcesz do picia. Kawę, herbatę? — Takim lub bardzo podobnym powitaniem rozpoczynamy każde nasze spotkanie. Trwają zwykle do późnego popołudnia, przerywane kolejnymi daniami, które na stole stawia pani Halinka, gospodyni mistrza. Pracuje u niego już kilkadziesiąt lat.

•

Za każdym razem umawiamy się na punkt dwunasta. Józef Wilkoń siedzi w swoim fotelu, po kuchni krząta się gospodyni. Co jakiś czas zagląda tu pani Swietłana, która zajmuje się synem Wilkoniam. Dom jest otwarty, goście wchodzi i wychodzą. Telefon dzwoni co kilka minut. Niektórzy przyjeżdżają obejrzeć i kupić prace, inni po prostu odwiedzają pana Józefa. Sąsiedzi przychodzą napić się wina i porozmawiać, pan Stefan, kierowca, przywozi zakupy a dawna znajoma zebrane przez siebie kurki. Gdy mistrz w skupieniu podpisuje kolejne umowy czy składa autografy na kolejnych egzemplarzach *Pana Tadeusza*, pytam, czy zawsze miewa tyle gości.

— Ponoć jak raz się tu przyjdzie, często się wraca. Ale lubię też ciszę i samotność — mówi.

×





Przypadki wczesnego dzieciństwa

Bogucice przed wojną były maleńką wsią położoną dwa i pół kilometra od Wieliczki, dziś są już częścią miasteczka. To tam w lutym 1930 roku urodził się Józef Wilkoń.

•

Jakie jest pana pierwsze wspomnienie z dzieciństwa?

Pierwsze, co pamiętam z dzieciństwa, to pożar. Miałem dwa latka. Matka trzymała mnie w ramionach, ogień promieniował, wyprowadzano krowę, były krzyki, ale mnie się to ciepło ognia bardzo wtedy podobało i tylko to miłe ciepło pamiętam. Dom spłonął, a potem go odbudowano. Na szczęście nikomu nic się nie stało. Jakie były straty, nie wiem.

Pamięta pan, jak wyglądał tamten dom?

Zgrabny był. Stał na poboczu pod górką. Przylegała do niego stodółka, a właściwie stajnia. Wynajmowaliśmy tam kuchnię i dwa pokoje. I tak się gnieździliśmy. Na miejscu tamtego domu ze strzechą postawiono nowy, murowany dom, pamiętam te wnętrza jak przez mgłę. Mam przepiękne zdjęcia, jak przed tym domem ojciec siedzi i maluje na sztalugach, a Olek, najmłodszy brat, karmi kurki. Wieś znajdowała się nad wąwozem, domy usytuowane były na garbach i pagórkach, bardzo urodziewie. Nasz dom



Olej Józefa Wilkononia, pierwsze lata studiów, stare koryto Wisłoka

stał w środku wsi, w dole rosły wysokie pokrzywy. W ten dół z pokrzywami nieraz wpadała nam piłka. Staszek, mój starszy brat, był bardzo przystojnym chłopcem. Śmiałem się z niego, gdy w łazience poprawiał sobie włosy przed lustrem. Kiedy miałem pięć lat, on miał już dziesięć, przychodziły do nas inne dzieciaki grać w dwa ognie. Staszek ubrany w krótkie spodenki ochoczo rzucał się w te wysokie pokrzywy, bo przecież dziewczyny patrzyły. Cały był poparzony. Taki był z niego podrywacz!

Daleko miał pan do szkoły podstawowej?

Dwa kilometry łąkami nad stawem, gdzie łowiłem ryby, kiedy tylko się dało. Staw był własnością niejakiego Bochenka. Był mały, ale wyjątkowo dobrze zarybiony: od karpików japońskich po szczupaki. Na wiosnę regularnie wylewał i wtedy ryby spływały potoczkiem, który płynął małym wąwozem wzdłuż pastwiska w dół do rzeczki Syrafy. Wąwozik nazywał się Piekiełki, zastawialiśmy tam koszyki i łapaliśmy spływające w dół ryby. Takie sceny teraz często mi się śnią.

Co konkretnie?

Strumień, w którym widać grzbiety trzepoczących w wodzie ryb. Było to dla mnie bardzo ekscytujące. Potem przynosiłem rybki do domu i mama smażyła je na maśle, a małe kiełbkie marynowała w słoikach. To był przysmak! Kochałem łowić ryby.

Ze stawem Bochenka wiąże się też pewne zdarzenie z 1945 roku, kiedy weszli Rosjanie. Gdzieś na tych łąkach się zatrzymali, zainstalowali obozowisko. Wtedy złowiłem największą rybę w swoim życiu, z pewnością był to karp, a oni to widzieli i chcieli mi ją zabrać. Włożyłem ją pod sweter i uciekłem. Na szczęście mnie nie dogonili. Nie dałem Ruskom ryby.

Co pan zapamiętał ze szkoły?

Z podstawówki najbardziej pamiętam nauczyciela Romana Koziola, który miał fajne podejście. Mówił na przykład: „Chłopcze, linia krzywa jest piękna”, i wyrzucił mi linijkę. Wyrzucił mi też gumkę do mazania, bo „jak mażesz, to nie widzisz swoich postępów”. Matka opowiadała, że Roman Koziół przybiegł z Zadorów, tam gdzie była moja szkoła podstawowa, i wtedy jak u nas był pożar, to jeszcze z ognia rzeczy wynosił, gdy inni już się bali. Ustawił dla mnie martwą naturę: kapelusz, pudełko z kredą i książki. Całkiem niezłe mi to wyszło, choć Kossakiem nie byłem. Juliusz Kossak, jak miał dwanaście lat, robił takie rysunki koni, że stary Kossak by się ich nie powstydział. Pamiętam też nauczycielkę, panią Ochmiczównę, która przysłała na moją wystawę w Pałacu Sztuki w Krakowie w latach sześćdziesiątych i powiedziała, że przechowała moje rysunki z dzieciństwa.

Czy był pan dobrym uczniem?

Mam wszystkie swoje świadectwa. Wynika z nich, że uczyłem się nie najgorzej, od czasu do czasu trafiały mi się jakieś dostateczne. Ale mój brat Staszek i siostra Ludmiła z góry na dół mieli same bardzo dobre, maturę zdali z wyróżnieniem, celerka. Mój brat miał wielkie zdolności matematyczne. W gimnazjum budził podziw nauczycieli, pewnie źle zrobił, że nie poszedł na matematykę, wyprzedzał innych o łeb. No ale został świetnym lekarzem.

Założę się, że z przyrody miał pan dobre oceny.

Z przyrody, polskiego i rysunku. Gorzej z geografią.

A czy mama musiała się dużo napracować, żeby dzieci się tak uczyły? Trzymała dyscyplinę?

Nie, to samo szło. Mama się napracowała, żeby każdy z nas, a dzieci była przecież szóstka, miał co na siebie włożyć: przerabiała ubrania po ojcu na najstarszego brata, potem na mnie i na młodszego. Nic się nie marnowało.

Pamięta pan swoich kolegów z podwórka?

Miałem kolegów od piłki szmacianej. Pamiętam sąsiada Ludwika Kluzę, którego zresztą namalowałem, jak gra w karty z moim młodszym bratem Olkiem. Byli rówieśnikami. Kluzowie mieszkali dwadzieścia metrów nad nami, na zboczu pagórka, gdzie rósł piękny dąb, który ktoś z nich potem wyrznął.

A inne zabawy?

Były różne. Bawiliśmy się w zabawy typu „jedzie mleko” (podobna do gry w „pomidora” — polegała na rozsmieszaniu), graliśmy w dwa ognie, siatkówkę, bawiliśmy się w berka. Z chłopięcych zabaw były palant i cyrka, czyli dołek w ziemi z utwardzonym gniazdeczkiem. Wkładało się kawałek patyka, większym patykiem uderzało w koniuszek mniejszego i trzeba było wybić jak najdalej. Bardzo skomplikowana, trudna i efektowna gra odbywała się na pastwisku bez zakupionych narzędzi. Wszystko robiliśmy sami. Ale też pamiętam, że stawaliśmy po dwóch stronach pagórka i wołaliśmy do siebie:

„Jebały cię osy, ty chuju bosy!

A ciebie barany, ty chuju jebany!”.

Dobrze, że matka tego nie słyszała. Każde odciąganie od kolegów było dla mnie przykre. Cholernie lubiłem te wszystkie zabawy. Bawiłem się na pastwisku, na którym pasła się nasza krowa Pyzia. Była śliczna. Biała z czarną szyją i białą gwiazdą na czarnej głowie. Miała też czarną łatkę na pupie. To śmieszne, że ilekroć potem jeździłem po Polsce, patrzyłem na pasące się krowy i szukałem pokrewnej Pyzi. To jest jakiś gen krowiego

umaszczenia, czasem takie widywałem. Podobno to krowy rasy holenderskiej. Choć potem zauważyłem, że holenderskie krowy są mniej zgrabne niż nasza Pyzia. Ona miała rogi jak wół, jak hiszpański byk toro bravo. I dawała świetne mleko. Była przyjazna, ale kiedy zauważyła, że może gdzieś szybko niezauważona pobiec na tak zwaną szkodę — w buraki, w ziemniaki, w koniczynę — fuczała, gdy ktoś zastępował jej drogę. Rzadko udawało się nam zdążyć w porę. Leciła sprintem z pastwiska na pole. Pyzia naprawdę była szczególna.

Skąd mieliście Pyzię?

Nie pamiętam, ale pewnie matka kupiła ją na targu. Pamiętam natomiast, jak sprzedano Pyzię. Studiowałem już wtedy w Krakowie. Dobrze, że przy tym nie byłem, bobym się chyba pobeczał. Mleko częściowo oddawało się do mleczarni. Nigdy nie zapomnę twarzy mleczarza, który to mleko przyjmował. Szara cera, świdrowate, świecące czarne oczka. Kojarzyłem go z uosobieniem zła, był urzędnikiem na rzecz Niemców. I odbierał nam mleko.

A kto doił krowę?

Mama. Nigdy się tego nie nauczyłem. Pamiętam, jak kiedyś, gdy już byłem starszy, zostałem sam z inną krową, czerwoną, i mimo wielu prób nie udało się jej wydoić. Musiała się zorientować, jaki ze mnie nedorajda. Mieliśmy też inne zwierzęta. Kozę, która tak zabawnie szturchała. Zawsze był też jakiś prosiak.

Co uprawialiście na polu?

Wszystko! W domu były jarzyny, wycinało się miedzę, pokrzywy, chwasty po to, żeby Pyzia, czyli nasza krowa, miała co jeść. Mieszało się to ze słomą pociętą w sieczkarni. Chwastem o dużym znaczeniu była lebioda. Bardzo smaczna i przydatna w czasie głodu. Jedliśmy ją w sałacie. W beczce była zakiszona kapusta. Na śniadanie najczęściej jadło się płatki owsiane z mlekiem albo zacierki z mlekiem robione przez matkę. Dobrze pamiętam smak chleba z masłem. Mieliśmy piec chlebowy, matka go zawsze rozpałała i co tydzień piekła sześć bochnów żytniego chleba. Za każdym razem jak matka piekła chleb, najpierw kładła do pieca podpłomyki, duże, płaskie placki, które szły do rozpalonego pieca, by sprawdzić, czy temperatura jest odpowiednia, żeby włożyć chleb. Nigdy nie zapomnę smaku podpłomyków posmarowanych samym masłem. Przysmak nad przysmaki! Chleb z mąki żytniej przez tydzień zachowywał wilgotną świeżość. Dziennie zjadaliśmy bochenek. Masło sami robiliśmy w drewnianej maselnicy. Nic nigdy się nie marnowało! Jak zostawały nam resztki lebiody, zjadała je Pyzia, a jak nie Pyzia, to prosiak.



Próba rekonstrukcji Pyzi



Rodzice, lata dwudzieste



Pani Ochmiczówna i klasowi koledzy, pierwszy z prawej Józef Wilkoń

Prosiak też miał imię?

No właśnie chyba nie miał imienia. Nie pamiętam, dlaczego. Zawsze hodowaliśmy zwierzęta i uprawialiśmy ziemię. Potem, kiedy rodzice przenieśli się do Łańcuta, matka tam też chodziła w pole. Był to kawałek ziemi, który odziedziczyła po swoich teściach, i pamiętam, że tam inny prosiak łąził za nią jak pies. Takie moja matka miała relacje ze zwierzętami. I dlatego nie chciałem dopuścić do tego, żeby jakies musiała zabijać.

Pan się nią opiekował?

Mówili, że byłem jej oczkiem w głowie. Ale to bzdura, wszystkich szczęścioro jednakowo nas kochała, wszystkich wykształciła. A nie było jej łatwo, nie miała własnego domu. Ojciec był urzędnikiem kolejowym, kasjerem. Przed wojną też pracował na kolei.

Były tygodnie biedniejsze i takie, kiedy nie było niedostatku. Pamiętam, jak chodziłem po przydziałowy chleb i marmoladę z buraków do Bieżanowa.

Daleko?

Cztery kilometry polami. Pod górkę, a potem z góry. W Bieżanowie na mojej drodze stał straszny urwis, mój rówieśnik. Zawsze mnie strach oblatywał, a on wiedział, że się boję, więc tym bardziej mnie straszyl. Kiedyś wróciłem do domu z całą wygryzioną piętka i było mi głupio. Ale matka mnie wtedy mocno przytuliła, bo wiedziała, że skoro ją wygryzłem, musiałem być naprawdę głodny. W czasie okupacji sąsiedzi doznawali głodu, a dzięki zaradności matki mogliśmy im trochę pomóc. Matka potrafiła wyhodować ziemniaki, pietruszki, selery, marchewki, buraki na kawałku pola dzierżawionego od chłopca Lidwina. Bardzo pomocny gospodarz. Ale pamiętam też sytuację, że i ziemniaków u nas brakowało. Chodziło się wtedy nad Wisłę, gdzie teraz jest Nowa Huta. Były tam żyzne pola. I gospodarze sprzedawali nam ziemniaki. Szedłem po piętnaście kilo ziemniaków i niosłem je na plecach. Nie było to łatwe dla młodych pleców, ale to był jedyny sposób, żeby uchronić się przed głodem.

Czym jeszcze musiał się pan zajmować?

Wstydliwą rzeczą, kłusownictwem. Byłem w tym prawdziwym mistrzem, jeśli chodzi o skuteczność. Fascynował mnie las. Jak w otwartej książce czytałem przyrodę: wiedziałem, którędy chodzą zające, znałem ich ścieżki. Ślady zasypane śniegiem odtwarzałem — wyciskałem je zajęczą łapką. Byłem niczym dwunastoletni kanadyjski traper. Złapane zające sprzedawałem w sklepie u Ruseckiego w Wieliczce, bardzo przyjaznego sklepikarza — robiło się u niego też zakupy na kreskę. Sprzedawałem zające, w zamian kupowałem kaszę, mąkę, cukier. Pomagałem też zakładać sidła kolegom, ale nieco gorzej niż sobie.

To znaczy?

Zakładałem gorzej niż sobie, żeby im się mniej łapało.

Ojciec pana nauczył sidła zakładać?

Nie. Ojciec pod tym względem był niedorajdą. Był dzielnym człowiekiem, sprawnym w innych rzeczach. Jeśli jednak chodzi o znajomość przyrody czy właśnie kłusownictwo, wszystkiego nauczyłem się sam.

Może pan wyjaśnić jak? Skąd wiedział pan, jak zbudować sidła i o tej łapce?

Sam wszystko wymyśliłem. Sidła są przecież stare jak świat. Potrzeba matką wynalazków. Robiłem je z cienkiego drutu. Byłem do tego zmuszony, bo praktycznie rzecz biorąc, utrzymywałem wtedy rodzinę. Zawsze byłem do dyspozycji. Kiedy trzeba było coś z pola przynieść, zebrać, zostawiałem na pastwisku towarzyszy zabawy i szedłem pomóc matce.

Ile dostawało się za takiego zająca?

Wystarczająco dużo, by kupić za to mąkę i inne artykuły, których nie mieliśmy na polu. To dla mnie sprawa przykra i wstydliva, dziś bym tego w życiu nie zrobił. Czego ja wtedy nie musiałem robić. Żeby matka nie musiała zabijać karpia na święta, robiłem to ja. Ojciec i starszy brat nie podejmowali się tego, wychodziło na to, że ja dam radę. Wcale nie byłem specjalistą od zabijania, zabijałem, żeby nie zabijała matka. Musiałem zabić królika, zabić karpia i uciąć głowę kogutowi. Żeby tego wszystkiego nie robiła matka.

×





**MISTRZ ILUSTRACJI
I RZEŹBY, AUTOR SCENOGRAFII
I GOBELINÓW, HISTORYK SZTUKI.
TAKŻE MISTRZ ŻYCIA.**

JÓZEF WILKOŃ

opowiada o dzieciństwie, nauce, domu, miłości, przyrodzie, jedzeniu, książkach... Oraz o roli przypadku w jego życiu, bo Józef Wilkoń zbyt wiele razy w życiu doświadczył wpływu przypadku, żeby nie wierzyć w jego moc. Jego matka mówiła, że jest urodzony w czepku. I rzeczywiście, są na to dowody: te jego przypadki były szczęśliwe. Urodził się 12 lutego 1930 roku w Bogucicach koło Wieliczki. Mieszka i pracuje w Zalesiu Dolnym. Miał w swoim życiu kilkaset wystaw zbiorowych i indywidualnych, dostał także dziesiątki nagród i wyróżnień. Należy do grona najwybitniejszych artystów w Polsce i na świecie zajmujących się ilustracją. Na jego dorobek w tej dziedzinie składa się blisko dwieście książek zarówno dla dzieci, jak i dla dorosłych.

AGATA NAPIÓRSKA

urodzona w Grudziądzu w 1983 roku, dziennikarka i tłumaczka, autorka książki *Jak oni pracują*. Na co dzień redaktorka naczelna i wydawczyni magazynu „Zwykłe Życie”. Mieszka w Warszawie.



cena 49,90 zł

PATRONAT MEDIALNY



BOOKLIPS.PL IIII

w sprzedaży także

